

Teatr

Polska premiera „Gwałtu na Lukrecji”

Gwałt na Brittenie

TOMASZ CYZ

■ Opery Benjamin Brittena rzadko goszczą na polskich scenach. Przed kilku laty poznańska publiczność mogła oglądać ciekawą inscenizację „Śmierci w Wenecji”. Teraz w Krakowie wystawiono „Gwałt na Lukrecji”. Dobrze, że w ogóle, źle, że kiepsko.

„Gwałt na Lukrecji” miał premierę w lipcu 1946 roku w Glyndebourne. Była to pierwsza kameralna opera Brittena, przeznaczona dla ośmiu solistów i trzynastu instrumentalistów (kompozytor napisał ją dla małej trupy objazdowej). Rzec dzieje się w Rzymie w V wieku przed Chrystusem, za panowania Etrusków. Według legendy Lukrecja, cnotliwa i piękna żona Tarkwiniusza Kollatinusa (krewnego króla Tarkwiniusza Pysznego), została zgwałcona przez najstarszego syna królewskiego Sekstusa. Nazajutrz opowiedziała wszystko mężowi i zabiła się ciosem sztyletu w serce; wtedy też Lucius Junius Brutus zaprzysiągł zemstę domowi królewskiemu, co stało się początkiem obalającej monarchię rewolucji.

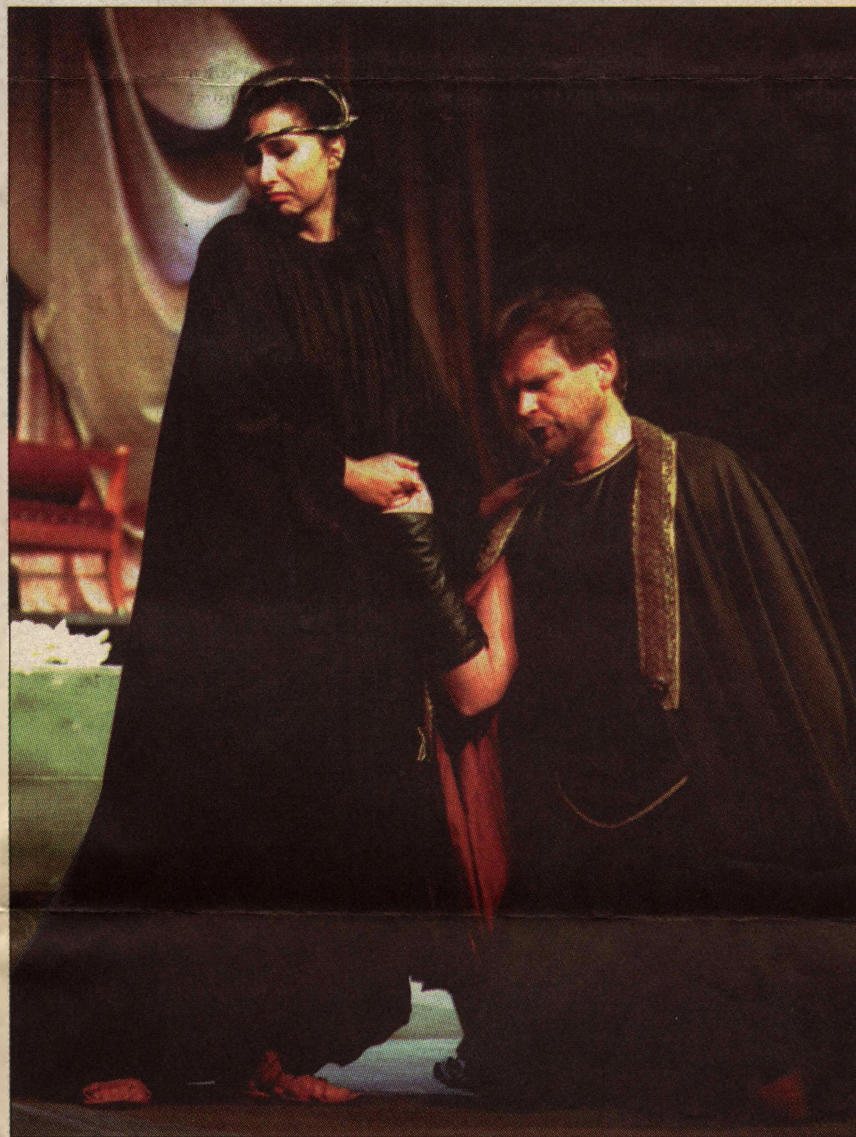
Opera Brittena ma dwa akty i cztery odslony. Oto rzymscy wodzowie, Collatinus i Junius opowiadają, jak to poprzedniego wieczoru udali się do Rzymu, aby sprawdzić wierność swoich żon. Jedynie Lukrecja, żona Collatinusa, okazała się godna zaufania (Juniusa zżera z tego powodu zazdrość i gniew, boi się, że będzie obiektem drwin). Przysłuchujący się rozmowie Tarkwiniusz postanawia uwieść żonę poddanego, wsiada na koń i pędzi do Rzymu. Prosi o nocleg, a pod osłoną nocy wchodzi do sypialni Lukrecji i budzi ją pocałunkiem. Gdy ta opiera się, grozi jej mieczem i siłą zmusza do uległości. Rankiem do pałacu przybywa Collatinus, zaniepokojony nieobecnością władcy w obozie; przybrana w purpurowe szaty Lukrecja opowiada mu o nocnych wydarzeniach i zadaje sobie śmierć.

Prócz zmysłowej, lirycznej, ale sięgającej także po ironię muzyki, ważne są tu trzy ele-

menty. Britten był pacyfistą, autorem monumentalnego „War Requiem”; „Gwałt na Lukrecji” powstał zaraz po II wojnie, po części także jako odpowiedź na niedawne wydarzenia (rzecz dzieje się przecież w czasie wojennego konfliktu, kiedy mężczyźni są poza domem, a kobiety mają wiernie czekać...). Britten był homoseksualistą, stąd silnie obecny w operze pierwiastek mizoginizmu. Jednym z najważniejszych bohaterów jest jednoosobowy podwójny chór – żeński (sopran) i męski (tenor, podczas prapremiery partię wykonywał wieloletni przyjaciel Brittena Peter Pears) – samoświadomy, wszechwiedzący, streszczający i komentujący wydarzenia (jak w starogreckim dramacie). I jeszcze jeden element: odwołania do pierwiastków chrześcijańskich (jak apoteoza Syna Bożego i Matki w końcowej pieśni), przez co kompozytor tworzy dla historii Lukrecji nową przestrzeń, nawiązując jednocześnie do formy nabożeństw pasyjnych.

Opery Brittena rzadko goszczą na polskich scenach. Przed kilku laty poznańska publiczność mogła oglądać ciekawą inscenizację „Śmierci w Wenecji”. Teraz w Krakowie wystawiono „Gwałt na Lukrecji”. Dobrze, że w ogóle, źle, że tak kiepsko. I nie chodzi tylko o formę śpiewaków (ogłodałem drugi spektakl), ale przede wszystkim o formę przedstawienia – brzydkiego, chwilami dość nudnego, z bezsensownymi, silącymi się na komizm i oryginalność pomysłami inscenizacyjnymi. Odstręcza już sam wygląd sceny, zagraconej płachtami niby zwiewnego materiału, niepotrzebnie zamykającymi przestrzeń. Jest duszno, nie ma czym oddychać. I, co najgorsze, nie wiadomo, kto kogo gwałci...

Reżyser Włodzimierz Nurkowski dosadnie, a przede wszystkim dosłownie, odczytał i przetłumaczył na obraz tekst libretta. Kiedy mowa o Tarkwiniuszu galopującym na koniu, na ekranie widzimy animację przedstawiającą cwałujące zwierzę. Kiedy służąca śpiewa, że Tarkwiniusz „rozwiązał obawy” Lukrecji, śpiewak (przykładem?) kładzie się na łożu i rozchyła wdzięcznie nogi... Przykłady można mno-



Lukrecja (Agnieszka Czastka) i Collatinus (Zbigniew Grygielski)

żyć, ale nie o matematykę tu chodzi. Raczej o to, że niezwykle dzieło, o dziwnej, ale intrygującej wymowie, pełne pięknych miejsc, zostało niemal żywcem pogrzebane.

Z ważnych dla „Gwałtu na Lukrecji” elementów pozostaje jedynie wyuzdanie. Podczas pierwszej sceny widzimy regularną orgię, a żalący się na niewierność kobiet Collatinus i Junius folgują własnym namiętnościom, niekoniecznie heteroseksualnym. Śmieszna, a przede wszystkim groteskowa jest scena gwałtu. Kiedy długowłose (co ma podkreślać jego dzikość, a powoduje jedynie problemy śpiewaka z widzeniem) i rozochociony Tarkwiniusz mieczem zmusza Lukrecję do zbliżenia, ta siada na nim jakby nigdy nic, a na jej twarzy maluje się rozkosz. Cóż, „wszystkie kobiety to dziwki”, jak śpiewa wcześniej jeden z bohaterów... W tym momencie reżyser odbiera sobie jeden z ważniejszych argumentów, dla których warto – i trzeba – opowiedzieć tę historię. A zmieniając jej główną oś, nie zmienia innych akcentów, przez co wszystko staje się wyrwane z kontekstu, osobne, niepotrzebne (jak pokazywana na ekranie podczas chóralnego prologu „skrótowa” do kil-

ku klasek-pigułek obrazkowa wersja historii Etrusków).

Na dodatek „Gwałt na Lukrecji” nie jest dobrze śpiewany. Kilku solistów ma nie tylko problemy z własną partią, ale przede wszystkim z językiem angielskim. Muzyka Brittena nie jest łatwa do wykonania: delikatna, zmienna, wymaga wrażliwości, umiejętnego cieniowania wewnętrznych, kameralnych przestrzeni dźwiękowych. Sala Teatru im. Słowackiego ma nienajlepszą akustykę. Dźwięk jest suchy, płaski, chwilami zbyt twardy. Muzycy krakowskiej orkiestry nie są przyzwyczajeni do kameralnego brzmienia, przez co *piano* bywa mało subtelne. Nic ciekawego nie działo się też pomiędzy postaciami, w aktorskich emocjach śpiewaków. O pierwszej polskiej inscenizacji opery Brittena lepiej jak najszybciej zapomnieć.

BENJAMIN BRITTEN, „GWAŁT NA LUKRECJI” (premiera polska). Libretto: Ronald Duncan (według sztuki André Obeya). Kierownictwo muzyczne: Piotr Sułkowski, reżyseria: Włodzimierz Nurkowski, scenografia i kostiumy: Anna Sekuła, soliści i orkiestra Opery Krakowskiej. Opera Krakowska, scena Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie, premiera 8 i 9 lutego 2004.